

Magdalena Szponar

ODCIEŃIE Czerwieni

ODCIEŃIE #1

ROMANS MAFIJNY AUTORKI *WBREW REGUŁOM!*



Copyright © 2023
Magdalena Szponar
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Alicja Chybińska
Korekta:
Katarzyna Chybińska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-413-0

MAGDALENA SZPONAR

**ODCIENIE
CZERWIENI**

ODCIENIE #1

OŚWIĘCIM 2023

Drodzy Czytelnicy!
Książka ta zawiera treści drastyczne i przedstawiające przemoc,
które mogą wywołać szok.

PROLOG



Pruszków. Wołomin.

Gangusy w starych betach z odrażającymi uśmiechami i papierosami między zębami. Gnoje szastające „kurwami” na każdym kroku. Kretyni w kradzionych samochodach wydający hajs na prawo i lewo. Mamonę, której nigdy nie mają dość. Imprezy, chłanie, ruchanie. Zwracanie na siebie uwagi w każdym możliwym miejscu, o każdym możliwym czasie.

Cwaniaki, które myślą, że rządzą, bo ktoś zszedł im z drogi. Niebezpieczni chłopcy.

To już przeszłość.

To nie mafia.

Spójrz, Sarenko. Widzisz tego dżentelmena, który właśnie przepuścił starszą panią w drzwiach apartamentowca naprzeciw? Widzisz jego lśniącego rolexa, garniak za kilka tysięcy i fryzurę ułożoną przez najlepszego stylistę?

A pamiętasz tamtego złotego chłopca? Tak, właśnie. Na tamtej imprezie. Sama go tak nazwałaś. Złoty chłopiec. Uśmiechem rozświetliłby niemałe miasto. Och, po twojej minie widzę, że dobrze go pamiętasz. Hawajska koszula, długie włosy schludnie związane w kitkę nad karkiem, lekki zarost. Błękitne oczy. Powiedziałaś, że taki nie skrzywdziłby muchy.

Zobacz teraz! Za tamtym gościem do budynku wchodzi kobieta. Niezła, co? Bizneswoman, powiedziałaabyś. Coś w tym jest. Elegancka, dystygowana, w szpilkach droższych niż twoje mieszkanie.

A pamiętasz piosenkarza, wokół którego ostatnio wybuchł skandal? Tego, co podobno ma dziecko na boku, a właśnie się ożenił. Widziałaś pewnie w tabloidzie. Wszyscy widzieli.

To jest mafia, Sarenko.

Ci wszyscy piękni ludzie z pięknymi samochodami, pięknymi buźkami.

To ich powinnaś się bać.

A mnie chyba najbardziej.

Ze wszystkich zwierząt człowiek jest jedynym przejawiającym okrucieństwo. Jedynym, który zadaje ból dla samej przyjemności jego zadawania.

Mark Twain

*A w duszy mej pogrzeby bez orkiestr się wloką,
w martwej ciszy – nadziei tylko słysząc jęk.*

Charles Pierre Baudelaire, Kwiaty zła

1



*Insane... Inside the danger gets me high.
Can't help myself. Got secrets, I can't tell.
I love the smell of gasoline.
I light the match to taste the heat.
Sam Tinnesz, *Play With Fire**

Nie ma zbrodni idealnej.

Każde przestępstwo jest działaniem.

Każde działanie pozostawia ślad.

Wciąż pamiętałam, że były to pierwsze słowa, jakie usłyszałam, gdy rozpoczęłam studia na psychokryminalistyce. I wciąż uparcie w to wierzyłam, musiałam w to wierzyć. Dzięki temu byłam coraz lepsza w tym, co robiłam. Goniłam ducha, który wciąż wymykał się z moich rąk, ale byłam już blisko, bliżej niż kiedykolwiek.

W dzieciństwie inne dzieci bawiły się na podwórku, a ja chłonełam w zaciszu domu kolejne powieści kryminalne. Odkąd pamiętałam, wiedziałam, co zamierzam robić w życiu. Ścigać przestępców. Nigdy nie pragnęłam robić niczego innego.

Dzisiaj pracowałam jako profilerka, choć ta nazwa jeszcze nie była popularna w Polsce. Oficjalnie zajmowałam stanowisko psychologa policyjnego. I czułam z tego powodu cholerną dumę.

– Zły dzień, mała? – usłyszałam nagle po swojej prawej.

Niechętnie zmusiłam mięśnie karku do pracy. Spojrzałam na delikwenta, który najwyraźniej był albo głupi, albo zdesperowany. Wystarczyło mi kilka sekund, by go ocenić. Wysoki, ale przygarbiony, więc niezbyt pewny siebie. Okulary na nosie, lekki uśmiech, policzki pokryte czerwienią w wyrazie aż nazbyt widocznego skrępowania. Lekkie drżenie dłoni, gdy sięgnął po szklanekę z (jak mnie mam) whisky. Skrzywił się przy pierwszym łyku; więc nie jest to trunek, jakim raczy się na co dzień. Szkoda.

– Twój chyba gorszy – odpowiedziałam i tyle wystarczyło, by z ust mężczyzny popłynęła wiązanka, której kompletnie nie słuchałam. Nawet nie chciało mi się udawać.

Zgarnęłam swój kieliszek oraz butelkę wódki i ruszyłam w najdalszy kąt baru. Kiedy tylko usiadłam, barman pojawił się za mną i postawił mi na stoliku wodę.

– Dzięki, Kamil – rzuciłam i oparłam ciężko głowę o brunatną, wysoką kanapę. Przymknęłam oczy z cichym westchnieniem.

– Nie dziękuj. Po prostu nie chcę, żebyś mi się tu schlała, Iza – odpowiedział i wręcz poczułam, jak obrzuca mnie uważnym spojrzeniem. Ignorowałam je już wystarczająco długo, jeden wieczór nie robił różnicy.

– Ta, jes... – mruknęłam niewyraźnie i udałam, że mu salutuję.

Nie otworzyłam oczu, ale wyraźnie słyszałam jego oddalający się śmiech. Nawet pozwoliłam sobie na wykrzywienie własnych warg. Nieznacznie. W końcu dzisiaj akurat nie miałam powodu do radości.

Wielu na moim miejscu miałoby inne zdanie na ten temat. W końcu przyczyniłam się do złapania seryjnego gwałciciela-mordercy, który grasował w Warszawie od kilku dobrych lat. No właśnie, po pierwsze sam ten szmat czasu działał mi na nerwy. Po drugie ciągle zamiatanie sprawy pod dywan również mnie wkurzało. Nawet nie chciało mi się myśleć, ile czasu poświęciłam, by udowodnić wszystkim cechy wspólne kilku zbrodni, by w końcu połączyli kropki i nadali przestępcy łatkę „seryjnego”. Nie poma-

gał fakt, że ciała odnajdywano w różnych miejscach w Warszawie, co powodowało, że śledztwo prowadziło kilka komend na raz. Wreszcie po trzecie udało nam się go złapać dopiero teraz, gdy na koncie miał już sześć ofiar. Sześć, kurwa, ofiar. Gdzieś w głębi serca kielkowało jednak nieśmiałe poczucie satysfakcji. Pojawiało się w chwili, gdy przypominałam sobie wykrzywioną przerażeniem twarz tego skurwysyna. Cóż, było warto...

Nie potrafiłam się jednak pogodzić z liczbą ofiar. Prawdopodobnie dlatego wyszłam dziś z komendy z naganą szefa. Nie spodobało się mu moje zachowanie. Kiedy wręczał nagrodę oficerowi, który prowadził tę sprawę, rzuciłam, że to wyróżnienie za prędkość. Wśród reszty policjantów rozległ się cichy śmiech. Komendant spojrział na mnie, dobrze wiedząc, z czyich ust wyszedł ten komentarz. Cóż. Moja niewyparzona buzia kiedyś mnie zgubi. Tym razem dostałam jedynie porządny opierdół. Satysfakcjonujące było to, że szef nie zaprzeczył jednak, kiedy wytknęłam mu, że gdyby posłuchano mnie wcześniej, tamten skurwysyn miałby na koncie o kilka ofiar mniej.

Od lat powtarzano mi, że zbyt mocno angażuję się we wszystkie sprawy. Tak było. Oficjalnie pełniłam funkcję psychologa policyjnego (na moje nieszczęście na etacie cywilnym, więc nie dość, że nie było mnie stać na porządną wódkę, to jeszcze nikt nie liczył się z moim zdaniem). Do moich zadań od jakiegoś czasu należało profilowanie kryminalne. Powoli zaczynałam jeździć po całym kraju; wszędzie tam, gdzie umysły śledczych były na tyle otwarte, by chcieć zaangażować właśnie psychologa. I dobrze wiedziałam, że kiedyś w końcu któraś sprawa złamie mi serce. Podobno każdy profiler prędzej czy później przez to przechodził. Sama odnosiłam wrażenie, że z każdą wydaną opinią drobny kawałek mojego serducha się skrusza. Nie wiedziałam jednak, ile czasu potrwa, zanim stracę całe. Tym bardziej jeśli traktowałam moją pracę dość... osobiście. W końcu miałam swoje powody.

Zamiast więc brać się za kolejną sprawę, załatwiłam sobie dwa tygodnie przymusowego urlopu. Bezpłatnego. I chyba to bolało mnie najbardziej. A, zapomniałam wspomnieć... Dupek obciął mi też premię półroczną.

Podobno byłam przemęczona. Podobno potrzebowałam odpoczynku.

Gówno prawda.

Potrzebowałam efektów, a nie ciągłego użerania się ze starymi psami, którzy nie chcieli mnie słuchać, bo według nich profilowanie przestępców to wymysł rodem z *Kryminalnych Zagadek Las Vegas*, a tak w ogóle to nie będą słuchać gówniary, która mogłaby być ich córką.

Gnoje.

Na potwierdzenie własnych przemyśleń wychyliłam kolejny kieliszek wódki. Miałam wrażenie, że jej ostry smak ugruntowuje moje przekonania. Znowu przymknęłam oczy i zgodnie z najważniejszą zasadą każdej depresyjnej osoby zaczęłam dopatrywać się pozytywów w tej porąbanej sytuacji.

Cóż, przynajmniej miałam teraz trochę czasu, by zająć się moim Duchem.

Aż się skrzywiłam pod nosem, gdy tylko pomyślałam o faciecie, którego próbowałam złapać od siedmiu lat. Dokładnie od chwili, kiedy zaczęłam studia i postanowiłam sobie, że rozwiążę jakąś sprawę z Archiwum X. Szybko znalazłam odpowiednią. Kilkanaście potwierdzonych zabójstw o różnym stopniu agresywności. Wszystkie wrzucane do katalogu z wielce sugestywnym napisem „przestępczość zorganizowana” (co mogło, do cholery, oznaczać dosłownie wszystko). Żadnych konkretnych dowodów, żadnych świadków, żadnych poszlak, nawet, kurwa mać, nie mogliśmy znaleźć żadnego narzędzia zbrodni. Nawet nie do końca było wiadomo, czy rzeczywiście były to zabójstwa seryjne. Nic. Null. Zero. Sama jednak wiedziałam. Czułam to w kościach. I choć mogłam to dopisać do długiej listy swoich wad, słuchałam intuicji.

A ten zabójca? Cholera. W myślach lubiłam go nazywać Duchem. Bo właśnie taki był. Irytująco nieuchwytny. Wciąż gdzieś poza planem. Wciąż w roli pieprzonego reżysera wystawiającego na własnej scenie aktorów według jakiegoś bliżej nieokreślonego scenariusza. Dowiedziałam się o nim w Tworkach¹. Na początku wysłano mnie tam na praktyki, później jeździłam już sama. Musiałam to robić, by nie wypaść z rytmu. Jeżeli ciągle miałeś kontakt z umysłami przestępców, łatwiej było ci je zrozumieć – każdy psycholog policyjny to wiedział.

Tworki były ważnym punktem na mapie wszystkich profile-rów. Tutaj mogliśmy porozmawiać z psychopatami, gwałtocielami, zabójcami. Uważałam ich za całkiem solidne źródło wiedzy. To tam poznałam Krzysztofa: zabójcę, który we wszelkich testach na spektrum psychopatii osiągał świetne wyniki². Kiedy go poznałam, nie ufał nikomu. Po paru latach dopuszczał do siebie tylko mnie. To od niego dowiedziałam się o Bystrym. Mężczyźnie, który trząsł całym warszawskim półświatkiem, a miałam sporą pewność, że działał też na arenie międzynarodowej. Zdążyłam zebrać o nim dość okazałą bazę danych. Oczywiście nic nie było potwierdzone: same strzępki informacji, które uzyskiwałam głównie podczas wizyt w więzieniach i zakładach zamkniętych.

A więc Duch był tłem największych przekrętów w dziejach przestępczości zorganizowanej naszego kraju w ostatnich latach. Jednocześnie nikt nawet nie wiedział, czy on istnieje naprawdę. Bystry. Jego pseudonim obrósł tak wielką legendą, że większość gangusów wypowiadała go szeptem z jakąś nabożną czcią. Tak mówili o nim na dołku. I, do diabła, pasowało jak uła. Gość był niesamowicie inteligentny. Niestety miał pecha: ja również taka byłam.

¹ W Tworkach (dzielnica Pruszkowa) mieści się Mazowieckie Specjalistyczne Centrum Zdrowia im. prof. Jana Mazurkiewicza. Jest to szpital psychiatryczny, który został utworzony w 1891 roku. Znajduje się tam m.in. oddział psychiatrii sądowej o wzmocnionym zabezpieczeniu (przy. aut.).

² Wysoki wynik osiągnięty w testach na spektrum psychopatii oznacza jej obecność (przy. aut.).

A mimo to nie mogłam go dorwać. Gdyby ktokolwiek przejrzał zawartość mojego mieszkania, szybko doszedłby do wniosku, że mam na punkcie tego faceta prawdziwą obsesję.

Trudno, przyznaję się bez bicia. Chcę być tą, która pomoże w złapaniu największego przestępcy w Polsce od czasów Pruszkowa i Wołomina. Choć im dłużej o tym myślałam, tym częściej się zastanawiałam, czy nie zboczyć odrobinę z drogi prawa... Zawsze mogłam gnoja po prostu wykończyć i zepchnąć winę na kogoś innego.

Moje zafiksowanie na punkcie Bystrego nie miało nawet żadnego wyraźnego powodu. Nie kryła się za tym żadna łąza historia. Facet nigdy nie wyrządził mi krzywdy, po prostu chciałam go dorwać. Może sama przez to trąciłam lekko psychopatycznymi skłonnościami, ale nie umiałam się powstrzymać.

Oprócz tysiąca niezbyt ważnych informacji, jakie udało mi się na niego zebrać, tak naprawdę miałam niewiele konkretów. Z drugiej strony nie potrzebowałam dużo, by wiedzieć, gdzie go szukać. Nie na tym polegało profilowanie. Wiedziałam wszystko o jego motywach, złożoności psychiki, cechach osobowości. Nie wiedziałam natomiast, jak się nazywał. Dlatego też to, co robiłam, nazywało się sporządzaniem charakterystyki psychologicznej nieznanego sprawcy przestępstwa. Poza tym od tygodni znałam adres, ale jeszcze nie odważyłam się tam pójść. Jeszcze nie był to odpowiedni moment. Nie zdecydowałam bowiem, jak chcę rozwiązać tę sprawę. Choć im dłużej o tym myślałam, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że droga jest tylko jedna. Przy każdej innej robocie potrafiłam pójść za głosem intuicji i naprawdę skutecznie udawało mi się zrozumieć umysł przestępcy, jakiego podsyłano mi w Firmie. Miałam też aż jedno zdjęcie Bystrego. Niewyrażne. Rozpikselowane. Z tego, co wiedziałam, była to jedyna jego fotografia. Pochodziła z kamery monitoringu miejskiego i z całą pewnością wyłapała moment, w którym Bystry wracał z miejsca zbrodni. W toku śledztwa była kompletnie nieprzydatna: nie po-

zwała na identyfikację sprawcy, ale jednocześnie to właśnie ona dała mi najwięcej. Znałam ją na pamięć. Każdy element.

Po tamtym zabójstwie moi kumple z kryminalnego postanowili choć raz mnie posłuchać. Zorganizowaliśmy prowokację: fotografia wypłynęła do mediów z odpowiednim komentarzem. Każdy szanujący się psychopata zareagowałby na to w jakikolwiek sposób. Bystry nie. Ale sama akcja spowodowała ciąg wydarzeń, które dały mi do myślenia.

Kilka dni po opublikowaniu zdjęcia na komendę zgłosił się pewien dziennikarz. Powiedział, że od lat prowadzi prywatne śledztwo przeciw Bystremu, że wini faceta za śmierć kogoś sobie bliskiego. Jako że gość trochę pieprzył od rzeczy, wezwali mnie. W trakcie krótkiej rozmowy zdobyłam kilka ważnych informacji. Po pierwsze: jak dla mnie chłopak naoglądał się zbyt wielu rodzimych produkcji wątpliwej jakości spod ręki pana Vegi, ale nie chciałam oceniać. Po drugie: był święcie przekonany, że wie, gdzie Bystry ma swoją melinę. Podał mi adres, a ja po raz pierwszy w swoim życiu złamałam kodeks etyczny i zachowałam tę informację dla siebie. Nie miałam pojęcia, co mną kierowało w tej chwili, ale cóż... Stało się. Koniec końców historia odbiła się czkawką owemu dziennikarzowi. Choć to zbyt delikatne określenie jak na oskórowanie i kąpiel w rzece, którą mu zafundowano. Oczywiście – sprawa umorzona, podejrzanych brak, dowodów i poszlak zero. Kolejna sprawa trafiła do Archiwum X.

Tak, zdecydowanie to też mnie wkurwiało.

Zanim dziennikarz zniknął z powierzchni ziemi i później to, co z niego zostało, wypłynęło na brzeg Wisły, udało mi się z nim porozmawiać ponownie w bardziej prywatnych okolicznościach. Konkretniej: spotkaliśmy się w tym samym barze, w którym teraz siedziałam. Facet był przerażony. Twierdził, że ktoś go ściga (co w sumie według mnie okazało się prawdą, ale taką nie do udowodnienia) i że dokopał się prawdziwych perełek. Miał przy sobie wydruk tamtego zdjęcia i pamiętam, jak

zawzięcie w nie stukał. Mówił, że Bystry odebrał mu wszystko. I że on chce zrobić mu to samo. No, mówiłam, że ewidentnie coś z nim nie grało. Raczej logicznym było, że w starciu z gangusem miało się dość nikłe szanse. Chyba że znałeś kung-fu, karate i inne obcobrzmiące słowa, a to też nie dawało żadnej gwarancji.

Pamiętam, że gdy siedziałam i słuchałam jego pełnej niena-
wiści oraz strachu przemowy, przyjrzałam się ponownie zdję-
ciu. Fotografia przedstawiała wysokiego mężczyznę ubranego
w czarną bluzę z kapturem naciągniętym na głowę. Nie można
było dostrzec twarzy. W zasadzie kompletnie nic nie stanowiło
tutaj punktu zaczepienia. Sama natomiast wychwyciłam kilka
rzeczy. Po pierwsze: Bystry był sam, a naprawdę nie zdarzało
się często, by szef mafii (o ile był szefem, a nie egzekutorem, choć
wszystko wskazywało na pierwszą opcję) krążył po mieście bez
obstawy. Po drugie: wcale nie wyglądał jak ktoś, kto próbuje się
ukryć. Wręcz przeciwnie. Przechodził właśnie przez ulicę i na
początku nie rozumiałam, co z tym zdjęciem jest nie tak. Zauwa-
żyłam to dopiero po jakimś czasie. Wszyscy ludzie zmierzający
w odwrotną stronę, wszyscy, którzy szli obok, omijali go. Jakby
tworzył własne pole magnetyczne, które nikomu nie pozwalało
się bardziej zbliżyć.

Później dotarłam do nagrań z kamer monitoringu miejskie-
go. Owego feralnego dnia w jednym z warszawskich kantorów
dokonano egzekucji mężczyzny będącego jednocześnie właścicie-
ciem tej dość nieudolnie prowadzonej meliny. Kumple z nar-
kotykowego obserwowali to miejsce już od dawna, ale nie mieli
żadnych konkretów. Tamtego dnia kamery nagrały mężczyznę
w czarnej bluzie z kapturem i zwykłych džinsach, który wcho-
dził do środka. Po jakimś czasie wyszedł. I po prostu rozplynął
się w powietrzu. Zdjęcie, które znałam na pamięć, odzwiercie-
dlało właśnie moment opuszczania meliny.

Dopiero po godzinie kolejny klient kantoru wezwał policję,
gdy wszedł do lokalu i zobaczył zwłoki właściciela. Facet leżał

na ladzie z nożem wbitym w usta. Właściwie sztyletem; był tak długi, że przeszedł na wylot i przytwierdził gościa do drewnianego blatu. Według mnie przekaz był dość oczywisty, a za zbieg okoliczności nie można było uznać faktu, że właściciel kantoru w końcu zdecydował się z nami współpracować. Cóż, nie zdążył powiedzieć nic. To był też pierwszy raz, gdy Duch zostawił narzędzie zbrodni na miejscu. Obejrzałam nóż z każdej strony, sprawdziłam wszystko, co tylko mogłam. Wniosek był prosty: to był zwykły, tani, wręcz gówniany sztylet imitujący jakieś prawdziwe cacko. Dokładnie taki sam można było kupić na Allegro za kilka dyszek. Pomyślałam sobie, że zabójca zostawił go właśnie dlatego – nie miał dla niego żadnej wartości.

Pora wyjaśnić, dlaczego uważałam, że Bystry mordował ludzi w stolicy (i pewnie nie tylko) od lat. Mój prywatny katalog jego zbrodni pękał w szwach. Łączyło je jedno i dla mnie był to wystarczający powód, by uznać zabójcę za seryjnego, dla policjantów badających poszczególne sprawy – niestety nie.

Bystry zabijał w różnych częściach miasta. Za każdym razem w innej. Albo właściwie... Byłam pewna, że mordował w tym samym miejscu, ale zwłoki zostawiał zawsze gdzie indziej. Był sprytny: takie działania powodowały, że każdą sprawą zajmowała się inna komenda, a to z kolei sprawiało, że połączenie kropek było prawie niemożliwe. Tak już działała polska policja.

Kolejny powód? Wszystkie te ofiary zostały pozostawione tak, by ktoś je znalazł. Nie próbowano ukryć zbrodni. Za każdym razem czas, jaki upłynął od zgonu do znalezienia ciała, nie wynosił więcej niż kilka godzin. Każda z tych osób była też w mniejszym bądź większym stopniu zaangażowana w działalność przestępczą. Przekaz zawsze był jasny: jeśli z jakiegoś powodu podpadłeś Bystremu, umierałeś. Spektakularnie i tak, by wieść o twojej śmierci rozniosła się szybko.

Właściciel kantoru był jedyną ofiarą, która zginęła na miejscu odnalezienia zwłok. Tylko wtedy Bystry wyszedł ze swojej me-

liny i zaatakował, nawet nie czekając na zapadnięcie zmroku. Był tak cholernie pewny siebie, tak świadomy każdego kroku. Kurwa, podejrzewałam, że planował każdy swój ruch, że obserwował ofiary i wymiar sprawiedliwości tak, by być pewnym powodzenia swoich akcji. Nigdy nie popełniał błędu.

W końcu trzecia kwestia... Wszystkie ofiary, które skatalogowałam, zostały zamordowane za pomocą ostrych narzędzi. Nawet jeśli dochodziło do postrzału, śmiertelny cios zadawano nożem. Fascynowało mnie to. Potwornie.

Intrygował mnie. Bystry był zagadką, którą chciałam rozwiązać. I wiedziałam, że prędzej czy później to zrobię. A potem? Niech mi ziemia lekką będzie.

Teraz jednak skupiłam się na wódce, potrzebowałam chwili zapomnienia. I choć z zasady unikałam jednonocnych przygód, dzisiaj czułam, że właśnie tego mi trzeba. Rozejrzałam się po sali, ale naprawdę nikt nie przyciągał mojej uwagi. Tamten chłopaczyna, który próbował mnie poderwać przy barze, nadal tam siedział. Prawdopodobnie wciąż się zastanawiał, gdzie zniknęłam. Prawie miałam już wyrzuty sumienia. Z naciskiem na „prawie”. Nie jego wina, że był... waniliowy. A ja chciałam czegoś ostrego. Gwałtownego. Mocnego. Czegoś, co rozpieprzy mnie chociaż na chwilę.

Z westchnieniem wychyliłam kolejny kieliszek. W sumie chyba powinnam przystopować, bo istniało spore ryzyko, że po takiej ilości alkoholu spodoba mi się dosłownie każdy. Wówczas mój wzrok pofrunął ku wejściu do baru. Usłyszałam zgiełk ulicy, który wdarł się do środka wraz z otwieranymi drzwiami.

W progu pojawił się mężczyzna. Wysoki, cholernie wysoki. Przy nim wyglądałabym jak jakiś potargany skrzat. Poza tym koleś miał na sobie ciemny garnitur, czym od razu podbił sobie miejsce w moim prywatnym rankingu. Serio, to zakrawało na fetysz. I nagle zrozumiałam, że jeszcze nigdy nie poszłam do łóżka z nikim, kogo przynajmniej raz nie widziałam w garniturze.

Mężczyzna zerknął na zegarek i nawet z takiej odległości mogłam zauważyć, że wartość tego cacka przewyższała moją roczną pensję. To akurat mi nie imponowało, po prostu wychwytywałam takie szczegóły; można to nazwać zboczeniem zawodowym.

Obserwowałam typa, gdy ruszył w stronę baru, wprawiając w zachwyty gości płci żeńskiej. I jeśli miałam być szczerą, nawet kilka męskich spojrzeń skierowało się w jego stronę. Byłam w stanie to zrozumieć. Nie dość, że wysoki, to jeszcze potężnie zbudowany, choć do nabitego mięśniami Seby z osiedla wiele mu brakowało. Jego fryzura wyglądałaby śmiesznie na wszystkich zebranych w barze mężczyznach. On jednak był zachwycający. Przydługie włosy, które – choć zaczesane do tyłu – sprawiały wrażenie potarganych przez wiatr, miały głęboki, brązowy kolor, co dość mocno kontrastowało z krótko przyciętymi bokami oraz schludnym cieniem zarostu pokrywającego kwadratową szczękę mężczyzny. Spodziewałam się ciemnych oczu, ale kiedy obrzucił spojrzeniem salę, zrozumiałam, że musiały mieć jasny odcień. Miałam ochotę się dowiedzieć jaki dokładniej.

Tymczasem mężczyzna usiadł przy barze i zamówił coś u uśmiechniętego od ucha do ucha Kamila. Być może na moim barmanie nieznajomy nie robił takiego wrażenia jak na mnie. A może po prostu wcale nie byli nieznajomymi.

W tej samej chwili dostrzegłam, że stojąca przede mną butelka była już pusta. *Cóż za cudowny zbieg okoliczności*, pomyślałam i ruszyłam w stronę baru.

– Kamil, bądź tak miły... – rzuciłam do kumpla, opierając się o blat.

Nie do końca byłam przekonana, czy moja skórzana ramoneska, równie skórzane spodnie i koszulka z nadrukiem AC/DC zrobią wrażenie na mężczyźnie siedzącym obok, ale grzechem byłoby nie spróbować. Podarowałam sobie tandetne gesty w stylu zarzucania długich rudych loków na plecy. Po prostu stałam i robiłam to, w czym byłam najlepsza: ignorowałam towarzystwo.

– Kochana, chyba ci już wystarczy – rzucił Kamil, odbierając mi pustą butelkę.

– Nigdy nie mów kobiecie, kiedy powinna skończyć – odpy-skowałam, puszczając do niego oczko, na co tylko roześmiał się w głos.

– Czasami jednak można jej powiedzieć, kiedy powinna zacząć – usłyszałam tuż obok siebie niski i zachrypnięty głos.

Cholera. Obawiałam się, że od samego tonu tego mężczyzny mogłabym zajść w ciążę.

Spojrzałam w bok, próbując nie pokazać nieznanemu, jakie wrażenie na mnie robi.

– Czyżby? – zapytałam, przekrzywiając głowę. Bardzo próbowałam nie analizować jego gestów, postawy i wszelkich innych szczegółów, które w normalnej sytuacji zaczęłabym już katalogować w głowie. Ze sobą mogłam być szczerą, prawda? Chciałam gościa przelecieć, nic więcej.

– Zdecydowanie – odparł i jego usta wykrzywiły się w seksowny sposób, gdy spojrzał mi nagle prosto w oczy.

Cholera. Zielone. Były zielone. Irytująco oliwkowe, z drobnymi złotymi plamkami wokół tęczówek. Piękne.

Zaraz! Co?! Izabela, opanuj się!

– W przeciwnym razie – kontynuował niezrażony konsternacją, jaka musiała się pojawić na mojej twarzy – może ową kobietę – zawahał się i obrzucił mnie spojrzeniem, pod którego wpływem zrozumiałam, że chyba oboje mamy podobne plany na ten wieczór – ominąć wiele przyjemności.

– Mhm... – wymruczałam, pochylając się lekko w jego stronę.

Coś dziwnego błysnęło w zielonych oczach. I dobrze wiedziałam, co to było. Pragnienie.

– W takim razie, od czego powinnam zacząć według ciebie?

– Może zacznij od wyjawienia mi swojego imienia, Sarenko – odparł i na ułamek chwili serce zabiło mi mocniej. Sarenko? Trafił idealnie, wręcz nieprawdopodobnie celnie, by mógł to być przypadek.

Jakaś lampka ostrzegawcza zapaliła mi się w głowie, ale jeszcze nie wpadałam w panikę. W końcu to mógł być głupi traf. Przecież nie mogł wiedzieć, że nazywam się Sarnecka, prawda?

– Sarenko? – parsknęłam, próbując opanować drżenie głosu.
– Oryginalnie. A przynajmniej oryginalniej od tego, co już dziś słyszałam.

– A co słyszałaś? – Wydawał się szczerze zainteresowany...
mną.

– „Mała” – rzuciłam, śmiejąc się cicho. – Wiem, banalne.

Znów przesunął spojrzeniem po moim ciele i dobrze wiedziałam, co sobie pomyślał. To określenie do mnie pasowało. Miałam jedynie metr sześćdziesiąt trzy i teraz, gdy wciąż przy nim stałam, ledwie równałam się z nim wzrokiem. Wiedziałam, że gdy wstanie, będę mu sięgać może do brody. W tej chwili wydawało mi się to szalenie seksowne i podniecające. Wyobrażałam sobie, co mógłby ze mną zrobić, mając taką przewagę i dysponując taką siłą, która była dla mnie oczywista, gdy tylko widziałam, jak materiał marynarki opinał się na jego silnych ramionach.

– Więc jak mam się do ciebie zwracać? – zapytał.

– Na pewno nie „sarenko” – zaśmiałam się.

– Dlaczego nie? – Znów to uważne spojrzenie. – Pasuje. Masz piękne, duże, brązowe oczy. Delikatne rysy twarzy. Urocze piegi na nosie. I ta bujna grzywa płomiennych włosów. – Sprawiał wrażenie, jakby na świecie nie istniało nic ważniejszego od dokładnego opisanie każdego szczegółu mojego wyglądu. I, cholera, to było niesamowite. – Uroda sarenki, ale temperament lwicy, nie myślę się? – dodał z uśmiechem.

– Cóż... Jeśli będziesz grzeczny, może uda ci się znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Teraz już zaśmiał się w głos. I był to cholernie seksowny dźwięk. Taki, który trafił w sam środek mojego serca. I nie tylko serca, jeśli miałam być szczerą.

– Chyba wolę być nieco... niegrzeczny – szepnął i nagle zrozumiałam, że znajdujemy się jakoś bliżej siebie, jakby nasze ciała same się przyciągały. – Ale najpierw chcę poznać twoje imię.

– To nie jest koncert życzeń – szepnęłam i kompletnie nieświadomie przygryzłam wargę. Cholera! Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło! Nigdy nie zachowywałam się tak... kokieteryjnie, na Boga! To mogło oznaczać jedno: ta noc będzie niezapomniana.

– Jesteś uparta – mruknął i nagle wyciągnął dłoń, by założyć mi za ucho niesforne loki.

Dotyk jego palców był tak krótkotrwały i przelotny, że prawie go nie zarejestrowałam. Ale tak się nie stało. Miałam wrażenie, że poraził mnie piorun.

– Klaudia – szepnęłam, stawiając na kłamstwo, pod którym kryłam się jak za najlepszą tarczą. – A ty?

– Konrad.

– Nie wyglądasz mi na Konrada. – Znów znalazłam się o milimetr bliżej. Teraz już stałam prawie między jego szeroko rozstawionymi nogami. Nawet nie wiedziałam, kiedy zmienił pozycję. Nagle poczułam jego dłoń na swoim biodrze, a on gwałtownie przyciągnął mnie do siebie.

– A ty nie wyglądasz mi na Klaudię – odparował.

Wzruszyłam ramionami i zacisnęłam palce na kłapach jego marynarki. Do moich nozdrzy doleciał ciężki i cholernie męski zapach. Przypominał mi aromat burzy, sztormu na otwartym morzu. I miałam wrażenie, że to porównanie jest bardziej niż adekwatne.

– Dzisiejszej nocy mogę być, kimkolwiek zechcesz – rzuciłam.

– Czyżby?

– Mhm... Wystarczy dobra fabuła – dodałam.

– Więc nie wyjdiesz ze mną bez odpowiedniej historii? – Na jego ustach zabłąkał się uśmiech.

– Oczywiście, że nie. Musisz się postarać.

– Hm... – Pomruk, jaki wydobył się z jego gardła, rezonował w całym moim ciele.

Mimowolnie zadrżałam, co nie uszło uwadze... Konrada. Jasne, na potrzeby tej nocy mogę go tak nazywać. W końcu nigdy więcej go nie spotkam, prawda?

– Więc... Klaudio – szepnął – pozwól, że dzisiejszej nocy będę jedynie zabłąkanym przybyszem, który pragnie znaleźć ukojenie w ramionach zjawiskowej kobiety – dodał.

– Czyżbyś miał złamane serce, Konradzie? – zapytałam.

– Och, tak – jego usta znalazły się tak blisko moich – i jestem pewien, że jedynie ty możesz je posklejać... Klaudio.

– Trochę banalne... – szepnęłam, świadomie muskając wargami jego brodę. – Postaraj się bardziej.

Zaśmiał się cicho.

– Może będę milionerem, który pragnie powiewu świeżości w swoim życiu. Trafiłem do obskurnego baru i poszczęściło mi się, bo spotkałem tutaj prawdziwą perłę. Perłę, do której z pewnością nie pasuje wódka. Bardziej wykwinne wino, Sarenko – szeptał.

– Lepiej – odparłam i przesunęłam dłonie wyżej, muskając palcami jego szeroką szyję.

Z chorą fascynacją obserwowałam, jak jego skórę przeszywał dreszcz. Miałam wrażenie, że cały świat wokół nas przestał istnieć. Nie słyszałam dźwięków rozmów, cichej muzyki lecącej z marshalla, brzdęku szklanek, do których nalewano alkohol. Był tylko on. I ja.

– Ale zbyt grzecznie – dodałam, unosząc głowę.

Spotkaliśmy się spojrzeniami i odniosłam wrażenie, że jego tęczołki wyraźnie ściemniały. Nadal przebijała się w nich zieleń, ale teraz stała się niebezpieczna. W mojej głowie od razu pojawiło się odpowiednie porównanie. Oczy Konrada przypominały mi oczy dzikiego kota. W półmroku panującym w barze, w tak intymnej chwili, miałam wrażenie, że w swoje sidła złapała mnie puma. Hipnotyzował mnie, przyciągał, nie mogłam się od niego oderwać.

– Lubisz złych chłopców? – zapytał, a ja poczułam, że mocniej zaciska dłonie na moich biodrach.

Jakby dawał mi ostrzeżenie. Nie umiałam powstrzymać uśmiechu, jaki pojawił się na mojej twarzy.

– Nie lubię chłopców – szepnęłam, a mój głos wyraźnie zachryplł. Wiedziałam, co jest powodem. Podniecenie. Czułam je całą sobą.
– Zdecydowanie wolę mężczyzn. Im gorszych, tym lepiej.

Konrad uśmiechnął się w seksowny sposób. Lekko wykrzywił wargi i błysnął bielą zębów. Obrzucił uważnym spojrzeniem całą moją twarz, jakby chciał zapamiętać każdy jej szczegół. I chyba tak właśnie było. Wydawał mi się osobą, która potrafi przejrzeć człowieka na wylot. Łatwo to rozpoznałam, bo byłam taka sama. Tym razem jednak nie chciałam analizować, chciałam dać się ponieść.

Czy to było głupie? Prawdopodobnie. Czy cokolwiek mogło mnie powstrzymać? Nie sądzę.

Zawsze ciągnęło mnie do zła. I właśnie dlatego zaczęłam pracę w policji: by nie dać się mu pochłonać. Przynajmniej nie bez reszty. Uważałam, że w każdym człowieku kryją się pokłady tej siły. Ba, było ich więcej niż dobra. W taką ludzką naturę wierzyłam i z taką właśnie spotykałam się na co dzień. I dobrze wiedziałam, że największa walka między dobrem a złem rozgrywa się w naszych umysłach. Na szczęście dla tego świata częściej wygrywało dobro. Bo wybór dobra w gruncie rzeczy był podszyty słabością. Lękiem. Niepewnością. To zło stanowiło ogromne ryzyko, a nie każdy był na tyle odważny, by chcieć je ponieść. Może byłam porąbana, ale naprawdę uważałam, że właśnie zło wymaga największego wysiłku i charakteru. I dlatego tak bardzo mnie pociągało.

– Albo jesteś odważna, albo głupia – skomentował Konrad, ale uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Nie ma innej opcji?

– Raczej nie, bo... – zaśmiał się – prowokujesz obcego faceta. Wyraźnie jesteś pod wpływem, więc twoja ocena niekoniecznie jest prawidłowa. I patrzysz na mnie z taką odwagą, że sam zastanawiam się, co z tobą jest nie tak.

– Wszystko, Konradzie – odparłam z uśmiechem. – Wszystko jest ze mną nie tak.

Spoważniał nagle i spojrzał na mnie z błyskiem, który zdradził, że stanowią dla niego wyzwanie. I chyba to lubił. Chyba bardziej niż bardzo.

– Będziesz tego żałować – ostrzegł mnie.

– Ty bardziej.

Znów ten uśmiech. Byłam pewna, że złamał nim niejedno kobiece serce.

– Ale teraz najbardziej żałuję tego, że wciąż tu sterczymy, choć moglibyśmy być już zupełnie gdzie indziej.

Zaśmiał się w głos i nagle mnie puścił, by sięgnąć do kieszeni marynarki. Wyciągnął stamtąd dwustuzłotowy banknot i rzucił go na bar. Nawet nie spojrzał, czy którykolwiek z barmanów go zgarnął. W następnej sekundzie wstał, zmuszając, bym się cofnęła, złapał mnie za dłoń i ruszył ku wyjściu.

W mojej głowie pojawiły się tylko dwie myśli: po pierwsze, naprawdę byłam przy nim mała. Po drugie, posiadanie takich pośladków powinno być ścigane odrębnym przepisem prawa karnego.